

*Hic mortui vivunt, hic muti loquuntur. / Tu martwi żyją, a niemi przemawiają.*

|  |    |
|--|----|
| Od Redakcji.....   | 1  |
| Pożegnania: Wisława Szymborska, Krzysztof Parczewski, Irena Jarocka, Violetta Villas,<br>Adam Hanuszkiewicz..... | 2  |
| Kino Stare i Nowe: <b>W Ciemności</b> .....  | 9  |
| Wydarzenia: Spotkanie z Agnieszką Holland.....   | 10 |
| <b>Wariat i zakonnica</b> w teatrze <b>Ambassador</b> .....  | 12 |
| Z Biblioteki: <b>Między nami podróżnikami</b> , <b>Przepis na świąteczny nastrój</b> .....                       | 12 |

**Zapraszamy na walne zebranie czytelników 20 marca o 7:00 pm**

## Od Redakcji

Ostatnie miesiące przyniosły wielkie straty dla polskiej kultury. Zmarła poetka Wisława Szymborska, pieśniarka Violetta Villas, piosenkarka Irena Jarocka, reżyser Adam Hanuszkiewicz. Odszedł także nasz kolega, wieloletni członek zarządu Biblioteki, Krzysztof Parczewski, który z zawodu był fizykiem nuklearnym. Wspominamy ich w naszym biuletynie próbując utrwalić wybitną twórczość, niezwykle osobowości, piękno i wrażliwość, którymi się z nami dzielili. O pustce, jaką po sobie pozostawili, mówimy słowami zmarłej poetki cytując jeden z najpiękniejszych wierszy o śmierci, *Kot w pustym mieszkaniu*.

Do refleksji o życiu i śmierci nawiązują też inne z publikowanych przez nas w niniejszym wydaniu tekstów. Joanna Petry-Mroczkowska pisze z Krakowa o najnowszym filmie Agnieszki Holland, *W ciemności*. Relację ze spotkania z reżyserką i dyskusji na temat jej filmu w *Holocaust Museum* napisała dla nas Maria Koziębiedzka. Krzysztof Sasiadek omawia wystawioną niedawno w waszyngtońskim teatrze *Ambassador* sztukę Stanisława Witkiewicza *Wariat i Zakonnica*. Anna Firsowicz poleca powieść *Bikini* Janusza Wiśniewskiego.

Zachęcamy do lektury i do tego, abyśmy wbrew słowom wiersza Szymborskiej (*Nieczytanie*) nie żyli *mniej dokładnie i krótszymi zdaniem* i aby Proust nigdy nie mylił nam się z Prusem.

## From the Editors

Polish culture suffered a number of serious losses in recent months. The poet Wisława Szymborska died, as well as singers Violetta Villas, Irena Jarocka, and theatre director Adam Hanuszkiewicz. We also lost our colleague Krzysztof Parczewski, a longtime member of the Polish Library Board. Parczewski had been a nuclear physicist. We reminisce about these amazing, highly creative individuals in this issue of our bulletin. To express the void they left behind, we cite one of the most beautiful poems about death, Szymborska's *Kot w pustym mieszkaniu (Cat in an Empty Apartment)*.

The themes of life and death run through other texts in this issue. Joanna Petry-Mroczkowska writes from Krakow about Agnieszka Holland's film, *W ciemności (In Darkness)*. Maria Koziębiedzka relates her discussion about the film with Holland whom she met at the *Holocaust Museum*. Krzysztof Sasiadek comments on the recent production of Stanislaw Witkiewicz's play, *Wariat I Zakonnica (The Madman and the Nun)* presented at Washington's *Ambassador Theater*. Anna Firsowicz recommends Janusz Wisniewski's novel *Bikini*.

We encourage you to read our bulletin. We also hope that, contrary to Szymborska's *Nieczytanie (Nonreading)* we will not live *thoughtlessly and in shorter sentences* and that we will never confuse Proust with Prus.

## Pożegnania: Wisława Szymborska (1923-2012)



Żegnamy poetkę słowami jej wiersza, który napisała po śmierci przyjaciela. Nikt chyba piękniej nie wyraził czym jest śmierć kogoś dla nas ważnego, kto wypełniał nasze myśli i uczucia.

### *Kot w pustym mieszkaniu*

*Umrzeć - tego nie robi się kotu.  
Bo co ma począć kot  
w pustym mieszkaniu.  
Wdrapywać się na ściany.  
Ocierać się między meblami.  
Nic niby tu nie zmienione,  
a jednak pozamieniane.  
Niby nie przesunięte,  
a jednak porozsuwane.  
I wieczorami lampa już nie świeci.*

*Słychać kroki na schodach,  
ale to nie te.  
Ręka, co kładzie rybę na talerzyk,  
także nie ta, co kładła.*

*Coś się tu nie zaczyna  
w swojej zwykłej porze.  
Coś się tu nie odbywa  
jak powinno.  
Ktoś tutaj był i był,  
a potem nagle zniknął  
i uporczywie go nie ma.*

*Do wszystkich szaf się zajrzało.  
Przez półki przebiegło.  
Wcisnęło się pod dywan i sprawdziło.  
Nawet złamało zakaz  
i rozrzuciło papiery.  
Co więcej jest do zrobienia.  
Spać i czekać.*

*Niech no on tylko wróci,  
niech no się pokaże.  
Już on się dowie,  
że tak z kotem nie można.  
Będzie się szło w jego stronę  
jakby się wcale nie chciało,  
pomalutku,  
na bardzo obrażonych łapach.  
I zadnych skoków pisków na początek.*

### *Cat in an empty apartment*

*translated from the Polish by Stanisław Barańczak and Clare Cavanagh*

*Die—you can't do that to a cat.  
Since what can a cat do  
in an empty apartment?  
Climb the walls?  
Rub up against the furniture?  
Nothing seems different here  
but nothing is the same.  
Nothing's been moved  
but there's more space.  
And at nighttime no lamps are lit.*

*Footsteps on the staircase,  
but they're new ones.  
The hand that puts fish on the saucer  
has changed, too.*

*Something doesn't start  
at its usual time.  
Something doesn't happen  
as it should.  
Someone was always, always here,  
then suddenly disappeared  
and stubbornly stays disappeared.*

*Every closet's been examined.  
Every shelf has been explored.  
Excavations under the carpet turned up nothing.  
A commandment was even broken:  
papers scattered everywhere.  
What remains to be done.  
Just sleep and wait.*

*Just wait till he turns up,  
just let him show his face.  
Will he ever get a lesson  
on what not to do to a cat.  
Sidle toward him  
as if unwilling  
and ever so slow  
on visibly offended paws,  
and no leaps or squeals at least to start.*

## Krzysztof Parczewski (1926 - 2012)

*Krzysztof Parczewski był członkiem Zarządu Biblioteki niemal od początków jej istnienia, czyli blisko 20 lat. Zawsze mogliśmy liczyć na jego rzetelność, życzliwość i ciepły uśmiech. Będzie nam Pana bardzo brakować Panie Krzysztofie. Poniżej rozmowa, którą opublikowaliśmy w naszych **Wiadomościach** w październiku 2008.*



**Zbigniew Okręglak (ZO):**

Twoja droga do Waszyngtonu była bardzo różna aniżeli większości z nas. Myślę, że naszych czytelników zainteresuje jak przez Syberię i Daleki Wschód dotarłeś do USA.

**Krzysztof Parczewski**

**(KP):** W naszym mieszkaniu w Wilnie, 14 czerwca 1941 o 5-tej rano

zjawił się oficer NKWD w towarzystwie dwóch uzbrojonych żołnierzy i aresztowali całą naszą rodzinę (ojca, matkę, siostrę i mnie). Pozwolono nam zabrać tylko podręczny bagaż, to znaczy po dwie małe walizki. Ciężarowym autem zawieziono nas z Wilna do Nowej Wielejki, gdzie już czekały na nas wagony towarowe. Oficer NKWD odczytał nam rozkaz, że dla dobra Związku Sowieckiego będziemy przesiedleni do innej części ZSRR. To oświadczenie było bardzo ważne, bo znaczyło, że nie jesteśmy więźniami jak ci, którzy byli w gułagach. Nasza sytuacja nazywała się "wolna zsyłka," nie mniej jednak nie byliśmy wolni, bo chciano nas ulokować gdzieś, gdzie wcale nie chcieliśmy być.

Po dwutygodniowej podróży 1 lipca przybyliśmy na miejsce naszego nowego pobytu. Było to małe miasto, a raczej wioska, Szipunowo, leżąca w połowie drogi pomiędzy Barnaulem i Smipalatynskim. Była to okolica stepowa, bez drzew. Zatrudniono nas w rządowej farmie, tak zwanym Sowchozie, produkującej zboże (w większości pszenicę). Wykonywałem różne prace począwszy od suszenia ziarna i wożenia wody, a skończywszy na robieniu cegiełek z nawozu krowiego, które służyły w zimie do opalania pomieszczeń, w większości małych, jednorodzinnych chat. Jako pracownicy Sowchozu za naszą pracę byliśmy wynagradzani.

Gdzieś w listopadzie 1941 przyszła wiadomość o umowie polsko-sowieckiej, której jednym z warunków

było zwrócenie nam polskiego obywatelstwa (od 1940 byliśmy obywatelami 16 republiki (litewskiej) Związku Sowieckiego). Byliśmy więc znowu wolni i mogliśmy się (teoretycznie) poruszać po Związku Sowieckim z wyjątkiem strefy wojennej. Zdecydowaliśmy się na wyjazd na południe, do Samarkandy!!! Z pewnymi perypetiami dostaliśmy się do pociągu, który jak się później okazało do Samarkandy nie jechał, zresztą w ogóle nikt nie wiedział, dokąd jechał.

Wyładowano nas na przedmieściach Czardzu, leżącego nad rzeką Amurdaria. Spotykały się tam inne transporty Polaków z różnych części Rosji, włączając gułagi. Od przedstawicieli wojska polskiego dowiedzieliśmy się, że niedaleko w Guzarach w Uzbekistanie formuje się 7- ma dywizja. Dzięki zaradności mojej matki udało nam się tam dojechać. Był to najcięższy okres w moich podróżach. Było zimno, nie mieliśmy gdzie mieszkać, co jeść, panowała plaga tyfusu brzuszno (przenoszonego podobno przez wszy). Ludzie umierali jak muchy. Na szczęście w marcu 1942 roku udało nam się wyruszyć do Iranu, gdzie nasza trójka (matka siostra i ja) została rozdzielona - matka trafiła do oddziałów sanitarnych, siostra do kobiecych, mój status pozostał nieokreślony, gdyż byłem zbyt młody, aby być regularnym żołnierzem. W Teheranie, gdzie było nas kilkuset w przedpoborowym wieku, mieszkaliśmy w hangarach na lotnisku. Po paru miesiącach wsadzono nas na w ciężarówce i pojechaliśmy do Iraku, gdzie organizował się Drugi Korpus. Mieszkaliśmy tam w namiotach, było szalenie gorąco, a my dostawaliśmy po jednym litrze wody dziennie.

Po kilku miesiącach wcielono nas, młodych, do oddziałów "junaków" i przewieziono do Palestyny. Podróż ciężarówkami przez bezdrożną pustynię była

bardzo ciekawa - prowadził nas oficer marynarki, który według słońca określał naszą pozycję. Po przyjeździe do Palestyny skierowano mnie do Szkoły Kadetów, która podobno miała przejąć tradycje Lwowskiego Korpusu Kadetów. Spędziłem w niej trzy lata. Poza programem normalnej polskiej szkoły średniej poświęcano w niej dużo czasu na trening wojskowy. Z naszych osiągnięć trzeba wymienić defiladę w Kairze i defiladę przed generałem Sikorskim. Ta druga była w parę tygodni po zwycięstwie pod Al Amein, a więc humory były dobre. Była to jego ostatnia defilada, bo już w tydzień później nie żył.

Po zdaniu matury w maju 1945 zostałem odkomenderowany do regularnego wojska z przydziałem do jednostek wojska polskiego na Środkowym Wschodzie w Egipcie (dowódca Generał Wiatr). Mogłem wybrać pomiędzy pojechaniem do Włoch do Drugiego Korpusu i podchorążówką, albo pójściem na studia. Wybrałem to drugie, jak się później okazało słusznie – zostałem przyjęty na Francuski Uniwersytet w Bejrucie (afiliowany do Uniwersytetu Lyonńskiego) wraz z grupą innych polskich studentów. Był to jeden z najprzyjemniejszych okresów mego życia pomimo osobistej tragedii – śmierci matki, która była we Włoszech. Z najbliższej rodziny pozostała mi tylko siostra, której udało się przedostać do Anglii.

Niestety okres studencki trwał krótko, pieniądze się skończyły, a wojsko zaczęło się dopominać o mój powrót. Musiałem więc zbierać manatki i jechać do Anglii. Był grudzień, a więc mgły, jedzenie racjonowane, opału nie wystarczająco, aby jako tako funkcjonować. Poza tym musiałem chodzić w mundurze i bawić się w wojsko. Na szczęście już się nieco poduczyłem angielskiego i dostałem pracę w BAS (British Advisory Staff), dzięki czemu stałem się nietykalny dla sierżantów. W międzyczasie wystarałem się o stypendium na studia w Irlandii (National University of Ireland). Po jakichś 6-8 miesiącach zostałem zwolniony z wojska, tym razem permanentnie i pojechałem do zachodniej Irlandii, gdzie był mój uniwersytet. Po dwóch latach studiów dostałem pracę w przemyśle angielskim pod Londynem. Ale szybko udało mi się dostać asystenturę na uniwersytecie w Nottingham. Tam spędziłem pięć lat i w 1956 roku zrobiłem PhD. Wkrótce później wyemigrowałem do USA. Ameryka nie zrobiła na mnie dobrego wrażenia, duże rozczarowanie. Zaczęłem pracować w przemyśle amerykańskim, paru firmach, aż udało mi się dostać do General Electric do działu atomowych łodzi podwodnych. Po ośmiu latach przeniosłem się do agencji rządu federalnego Nuclear Regulatory Commission, gdzie pracuje do dziś.

**ZO:** Jak to się stało, że zacząłeś pracować dla Biblioteki Polskiej w Waszyngtonie?

**KP:** Polonia waszyngtońska jest znacznie większa od Polonii w Schenectady, gdzie było moje laboratorium General Electric. W Waszyngtonie poznałem trochę osób polskiego pochodzenia i wszedłem w polskie środowisko. Ale zawsze wydawało mi się, że powinienem podjąć jakąś pracę społeczną. Tak się złożyło, że kiedyś w rozmowie Tadeusz Walendowski zaproponował mi objęcie stanowiska skarbnika. Zgodziłem się i od tego momentu nawiązałem kontakt z Biblioteką.

**ZO:** Z perspektywy czasu, jak oceniasz postęp i kierunek rozwoju Biblioteki i jak widzisz jej przyszłość?

**KP:** Gdy zaczynałem pracę w Bibliotece, to były jej początki. Książek mieliśmy stosunkowo mało, nie było żadnych pomocy w rodzaju komputerów, pomimo to panował w niej dobry duch. Mieliśmy stałych czytelników, ale poza wypożyczaniem książek kwitło też życie towarzyskie – przychodzący do Biblioteki spędzali w niej kilka godzin, prowadziło się rozmowy na różne tematy. Obecnie też mamy stosunkowo dużo odwiedzających, ale ci najczęściej biorą książki lub filmy i nikną.

Największymi zmianami na dobre są różne imprezy organizowane pod egidą Biblioteki. Pod tym względem definitywnie wiemy prym wśród Polonii waszyngtońskiej. Jak każda organizacja mamy też swoje problemy, z których najważniejszy to lokal Biblioteki. Niestety niewiele możemy w tym kierunku zrobić, ale jeśli nie dostaniemy lepszych i większych pomieszczeń to długookresowa przyszłość Biblioteki pozostanie pod znakiem zapytania, gdyż już teraz “pęka w szwach” i nie może się rozrastać.

Kolejna bolączka to udział młodego pokolenia. Tak się szczęśliwie złożyło, że mamy teraz grupę osób, które całą duszą zajmują się Biblioteką, ale czas płynie i ci ludzie zaczynają się usuwać. A nam potrzebny jest zespół, dla którego Biblioteka byłaby w pewnym sensie “pasją życiową”. Takich ludzi byłoby łatwiej znaleźć, gdyby Biblioteka miała własny lokal i perspektywę rozwoju. My wszyscy powinniśmy mieć oczy i uszy otwarte na nowe możliwości, ale powinniśmy także być dumni z tego, co ludzie dobrej woli stworzyli i co teraz spełnia tak potrzebną wśród waszyngtońskiej Polonii funkcję.

**ZO:** Bardzo dziękuję za interesującą opowieść i rozmowę w ogóle.

## Pamięci Ireny Jarockiej (1946 - 2012)



Znałem ją wcześniej tak, jak znaliśmy ją wszyscy: piękna, sławna i nieosiągalna. Motyl talentu, wdzięku i urody, której piosenki gościły w gierkowszczyźnie na antenie *Lata z Radiem*, w autostopowych radiach *Jelczów* i *Starów*, którymi my, "dzieci-kwiaty komuny" próbowaliśmy dotrzeć na wymarzone Mazury.

W jej karierze nie było błazenady, kiczu, hucpy, arogancji i ciemnych okularów, spoza których nie widać skutków poprzedniego wieczoru. Czerwony dywan rozścielono przed Nią dopiero na górze. I to z wielką pompą...!

Tym bardziej zwyczajnie mi Jej brakuje... Poznaliśmy się próbując do *Pięknego Widoku*, prapremiery i chyba jedyne wystawienia tej sztuki Mrożka. Trudna, wielowymiarowa dwuaktówka, której akcja dzieje się na Bałkanach, nie wróżyła powodzeniu wśród nielicznej

waszyngtońskiej Polonii. Nadzieją napawały co prawda poprzednie osiągnięcia Teatru Polskiego w Rosslyn pod nieomylną batutą jego dyrektorki, Sylvii Daneel, poprzedzone chyba największym teatralnym sukcesem w naszym środowisku, prapremierą *Pierwiastka z Minus Jeden* Hemara w 1999 roku.

Irenka mieszkała wówczas w Teksasie i próby odbywały się rzadko lub telepatycznie. W dodatku, kiedy już się odbywały, kompletnie obezwładniała mnie swoją skromnością oczekując wskazówek. Jedyne, o co mogłem ją prosić, to: *Irenko, proszę nie wychodź na proscenium, pomyśl, że zaczniesz śpiewać i kompletnie mnie pogrążysz.*

A chyba mimo wszystko zakończyło się to sukcesem... Ona mówiła o tym zawsze jako o jednym ze swoich największych, przywołując w wielu wywiadach swój teatralny chrzest...

Jej odejście jest tak niespodziewane jak niezrozumiałe... Zawsze dbała o siebie i zdrowie, przestrzegając diety, była wegetarianką i pielęgnowała swoją niezwykłą urodę. Wydawać by się mogło, że jest niezniszczalna a sucha kostucha nigdy nie ośmieli się zapukać do Jej drzwi. Skromna nauczycielka pokory za życia, zrobiła nam egzamin z pokory po śmierci...

Irenko Droga, *nie wrócą te lata*, ale módlmy się by coś jednak *zostało z tych dni*, kiedy nawet *nieproszeni do tańca* i *kochając tylko raz*, wymyśliły się nawzajem w intymnym zaciszu *kawiarenek*.

**Wiesław Małachowski**

## Pożegnania: Violetta Villas (ur. Czesława Maria Cieślak 10.VI.1938 w Belgii – zm. 5.XII.2011 w Lewinie Kłodzkim)

Sam dźwięk tego nazwiska przywołuje różne wspomnienia i emocje. Była jedną z najbardziej widowiskowych postaci polskiego show-biznesu, ale też jedną z najbardziej kontrowersyjnych. Przez wiele dekad wzbudzała zachwyt rozpiętością głosu, którą ocenia się na przynajmniej cztery oktawy, oraz absolutnym słuchem. Miała operowy głos określany jako sopran koloraturowy, choć zdolna była do zaśpiewania czystych dźwięków nawet na poziomie barytonu. Często wykonywała wokalizy obejmujące wszystkie swoje rejestry i z precyzyjnym *glissando* modulowała głos od najniższych nut po najwyższe w sposób porównywany przez muzycznych krytyków do Ymy Sumac, rewelacyjnej śpiewaczki peruwiańskiej. Była legendą

muzyki polskiej, jedną z nielicznych, którym udało się zdobyć uznanie na estradach świata i angaże w Paryżu, Las Vegas, Chicago, czy w nowojorskim *Carnegie Hall*. Określano jej głos mianem „francuskiego szampana”, „głosem ery atomowej”; mówiono o niej „biały kruk wokalistyki światowej”.

Jednocześnie jej osoba była owiana nimbem domysłów, plotek i kontrowersji. Nawet okoliczności jej śmierci nadal są przedmiotem dochodzeń. Jej biografia była nietypowa – pięła się na szczyty popularności a potem zniknęła, izolowała się od ludzi; cierpiała na schorzenia fizyczne, psychiczne, uzależnienia od alkoholu i narkotyków. Była jak wielobarwny motyl: ezoteryczna,



egocentryczna, przesadna w projektowaniu swojego własnego publicznego *image*, który dał jej również przydomek „królowej kiczu”. Przechodziła różne metamorfozy, wcielenia i etapy. Mieszkała na dwóch kontynentach. W okresach, gdy przebywała w Polsce, wiodła życie hollywoodzkiej gwiazdy, szokując stylem bycia kontrastującym z szarzyzną ówczesnego PRL. Jednocześnie zajmowała się działalnością charytatywną i wspierała fundusz budowy *Centrum Zdrowia Dziecka* w Warszawie oraz częściowo sfinansowała w nim aparaturę medyczną. Postrzegana była jako seksbomba, choć faktycznie była bardzo religijna i nigdy w swoich występach nie naruszała granic estradowej etyki. Jej (drugie) małżeństwo z amerykańskim milionerem w Chicago wzbudziło sensację pretensjonalnością przyjęcia, na którym 1500 gości bawiło się przez pięć dni a panna młoda zaprezentowała 21 kreacji. Prywatnie wyznawała, że nie była szczęśliwa w tym związku, który rozwiązał się po roku. Autorzy jej biografii *Violetta. Nic przecież nie mam do ukrycia*, wydanej zaledwie miesiąc przed jej śmiercią, utrzymują, że udało im się rozwiązać wszelkie kontrowersje związane z osobą artystki. Rodzina natychmiast zareagowała zarzucając autorom niezgodność z faktami.

Jaka więc była Violetta Villas? Na wieść o jej śmierci wiele agencji prasowych, radiowych i telewizyjnych, zarówno krajowych jak i światowych (*USA Today*, *CBNews*, *Washington Post*) podało notki biograficzne. Każda oddawała jej hołd jako międzynarodowemu zjawisku artystycznemu, jakkolwiek nie do końca spełnionemu przy jej nadzwyczajnych możliwościach głosowych, predysponujących raczej do światowej *divy* operowej niż śpiewaczki rewiowej. Większość tych notek odzwierciedlała fakty podawane przez samą artystkę (m.in. zapewnienia o odmowie współpracy ze Służbą Bezpieczeństwa). Ale już wkrótce po jej śmierci portale internetowe, w tym Wikipedia, z bezwzględną szczerością zaczęły ukazywać szokujące elementy życiorysu Villas – niezrównoważenie psychiczne, niekontrolowane adopcje olbrzymiej ilości zwierząt,

które doprowadziły jej rezydencję do stanu uznanego przez kontrolę sanitarną za zagrażający epidemiologicznie nawet sąsiadującym gospodarstwom. Ujawniają jej faktyczną współpracę z komórką organizacyjną ds. wywiadu Służby Bezpieczeństwa Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, gdzie działała pod pseudonimem operacyjnym "Gabriella". Kwestionują prawa do wielu wykonywanych piosenek i należnych z tego tytułu tantiemów. Opisują jej psychiczną degrengoladę, upadek finansowy i zapomogi od Ministerstwa Kultury czy oferty wsparcia ze strony kolegów z estrady.

Gdy zabierałam się do pisania tego artykułu, długo zastanawiałam się jaką formę mu nadać. Można było po prostu przetransponować dane biograficznie tak obficie dostępne w internecie i stworzyć następną wersję powielającą wieści już znane powszechnie fanom Violetty. Jednakże lektura blogu poświęconego artystce i zawarte w nim wspomnienia jej osobistych ochroniarzy ukazały mi jej nowe, bardziej personalne oblicze. I te wspomnienia uznałam za ciekawsze i godniejsze na to swoiste epitafium.

Ludzie z jej najbliższego otoczenia opisują ją jako osobę ekstrawagancką, szczodłą, dobrą i humorzystą. Gdy coś działo się nie po jej myśli wpadała w furię (ochroniarze mawiali wtedy, że Villas „jest pod prądem”). Violetta dość szczególną estymą otaczała swoje sukienki, szyte zawsze przez osobistą krawcową. Te kreacje to były jej skarby i nikt nie miał prawa ich dotknąć. Przekroczenie tego „zakazu” mogło wyzwolić jej straszliwy gniew. Suknie były bardzo ciężkie od ilości materiału i dodatków, i zakładanie ich trwało do trzech godzin. *Bodyguards* w drodze na koncerty mieli obowiązek noszenia szerokich i długich płaszczy, które po wyjściu z samochodu drapowali w formie namiotu ponad jej głową by ochronić ją zarówno od warunków pogodowych jak i od ulicznych fanów. Podobnie ich zadaniem była ochrona jej sukienki oraz wspaniałych włosów przed dotykami wielbicieli. *Różne się historie o jej włosach mówiło. Ja powiem, że były prawdziwe* - uśmiecha się pan Ryszard (bodyguard artystki). *Po prostu nie mogę powiedzieć, jak było naprawdę.*

Violetta miała bardzo słaby wzrok i śpiewając na koncertach, oczywiście bez okularów, nie widziała widowni, często ustawiając się do niej bokiem. Wówczas zza kulis wychodził ktoś z obsługi by wręczyć jej różę, a w rzeczywistości by ją delikatnie odwrócić twarzą do widowni. Gdy występowała w okularach, często malowała je lakierem do paznokci na różowo, w ten sposób rekompensując ubogi socjalistyczny rynek. Później podobnie postępowała ze swoją komórką,

malując ją na kolor paznokci. W USA czuła się bardzo osamotniona i pomimo otaczającego ją bogactwa mawiała, że jest zamknięta w złotej klatce. Swoją amerykańską rezydencję nazywała „karringtonówką”. W tym swoim bogactwie pozostała bardzo religijna, w każdym pokoju stawiając kapliczki. Mieszkając w Polsce, gdy podróżowała na koncerty do Warszawy ze swoich domów w Magdalence czy Lewinie Kłodzkim, zawsze zatrzymywała się w Częstochowie. Dom w Lewinie był twierdzą, do której nikogo nie wpuszczała bez zaproszenia. Jego drzwi nie otwierały się nawet dla darczyńców przychodzących z pomocą w ciężkich finansowo czasach, jeśli nie byli oczekiwani lub zaproszeni. W końcowych miesiącach życia piosenkarki, twierdza ta była zamknięta nawet przed najbliższą rodziną, przed własnym synem.

Wspomnienia ochroniarzy nabierają szczególnych barw w opowieściach o jej przytułku dla zwierząt (nazwanym *Arką Noego*). Zwierzęta zaczęła przysparzać jeszcze w Magdalence pod Warszawą; gdy ich liczba przekroczyła 50, musiała znaleźć im nowy dom. Wtedy wróciła do Lewina, miejscowości w której zamieszkała jej rodzina po powrocie z emigracji w Belgii. W nowym domu zwierzęta zaczęły pojawiać się w zastraszającym tempie. W sypialni Villas zwykle nocowało przynajmniej 30 kotów. Psy włóczyły się po całym domu. Ludzie nieustannie podrzucali jej zwierzęta, ona zaś nie umiała odmówić. A oni traktowali jej dom jak ochronkę, nawet przerzucając niechciane zwierzęta przez płot posiadłości. Kiedyś do ogrodu wpadła reklamówka pełna kociąt. Według opowiadań ochroniarza, Villas miała ostatecznie zdecydować się na zakończenie drugiego małżeństwa gdy mąż, Ted Kowalczyk, polonijny milioner z Chicago, zastrzelił szopy pracze, które zagnieździły się na terenie ich posiadłości.

Wiele można napisać na temat Violetty Villas – zarówno dobrego jak i tego, co bynajmniej nie przydało jej splendoru. Na pewno zostanie na zawsze kontrowersyjną i nie do końca „prawdziwą”, sztuczną lalą wykreowaną w latach 60-tych na modłę hollywoodzkich gwiazdek, której gwiazdorski styl bycia raził w Polsce Ludowej pomimo wielkiej popularności wykonywanych utworów.

Chciałam zamknąć ten artykuł jeszcze jednym wspomnieniem jej osobistego ochroniarza, które z pewnością doda jej dużo ludzkiego i serdecznego waloru: *Urzekła mnie kiedyś swoim zachowaniem podczas jednej z vipowskich gal w Warszawie. Dla nas, skromnych kierowców i ochroniarzy, przygotowany był mały stoliczek z boku. Pani Violetta wstała wtedy i zagroziła całemu towarzystwu, że nie zacznie jeść, dopóki nie posadzą nas przy wspólnym stole. Bardzo mi wtedy zaimponowała. Tak samo, gdy stwierdziła, że chce mnie odwiedzić w Tułowicach. Przyjechała jak gdyby nigdy nic do mojego domu. Zjadła litrowy słoik ryb w occie mojej mamy i ogromną porcję bigosu. Zażądała też, by jeden słoik zapakować jej na wynos do Warszawy.*

Violetta Villas na stałe wpisała się w najlepsze karty polskiego i światowego show-biznesu i jej legenda pozostanie żywa. Zaś my z nutką nostalgii długo jeszcze będziemy wspominać jej piosenki, które towarzyszyły nam przez tyle lat. *Józek... Przyjdzie na to czas... Dzikuska... Dla ciebie miły... Oczy czarne... List do matki...*

*Aleksandra Zajackowski*

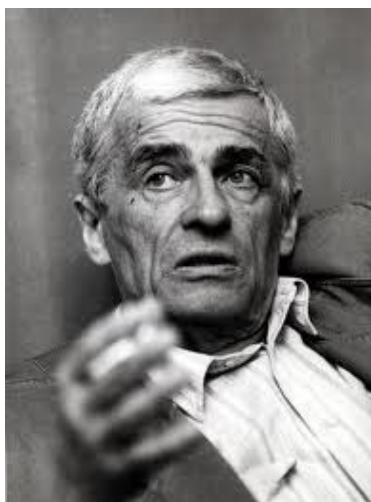
## Pożegnania: Adam Hanuszkiewicz (16 czerwca 1924 - 4 grudnia 2011)

*Dzieło sztuki powinno bić w pysk, a nie całować po rękach!*

8 grudnia 2011 na Powązkach Wojskowych warszawiacy, artyści, przyjaciele i rodzina pożegnali Adama Hanuszkiewicza, wybitnego twórcę teatralnego i króla życia. W urnę z jego prochami wkomponowano drabinę symbolizującą *Kordiana* Juliusza Słowackiego, jedną z najważniejszych inscenizacji kontrowersyjnego reżysera (1970), w której główny bohater wygłaszał monolog na szczycie Mont Blanc, stojąc na drabinie. Adam Hanuszkiewicz przez całe życie twórcze szukał nowych środków wyrazu, słynął z niezwykłych „chwytów” scenicznych, które przeszły do historii

polskiego teatru: podczas przedstawienia *Miesiąc na wsi* Turgieniewa (1974) po scenie, po żywej murawie biegały psy, a postaci z *Balladyny* Słowackiego (1974) jeździły na motorach.

Należy oddać głos samemu Hanuszkiewiczowi, który w niezwykle barwny i zajmujący sposób opowiada o swoim teatrze. Tak reżyser wspomina to wzbudające skrajne emocje i opinie przedstawienie *Balladyny: Otóż ci moi adwersarze, posiadający nawet sporą wiedzę o teatrze, wiedzieli, co to jest Balladyna, ale w ujęciu p o l o n i s t y c z n y m, czyli: że jest to historyczny zapis początków państwa polskiego, trochę może idealizowany, ale zapis, a tu nagle widzą, że reżyser w bezczelny sposób buduje w*



*Teatrze Narodowym wzdłuż balkonów... wybieg motocyklowy, bierze kostium Fondy z **Barbarelli** oraz spadochronową uprzęż kojarzącą się z pasem cnoty, po czym zaczynają się „maliny-spaliny”, no i pisze w dodatku na scenie jak do idiotów wielkimi literami BALLADYNA!!!\**

Nie były to jednak popisy obliczone na łatwy efekt, ale skutek głębokiego przekonania reżysera o konieczności wystawiania klasyki w sposób współczesny, tak by trafiła do współczesnej widowni. *Zaczyna się od tego, że mnie epoka nie interesuje! Uważam, że utwory dramatyczne należy realizować tak, jakby dzisiaj były pisane, ponieważ teatr dzieje się tutaj i teraz, a nie kiedyś - bo należałoby jeszcze do niego kiedysiejszą widownię sprowadzić! (...) Jedyna niezmienna rzecz to słowa zapisane w oryginale tekstu, natomiast znaczenie słów zmienia czas i nowa moda literacka temu czasowi przypisana.*

Dla Hanuszkiewicza wielka literatura mówiła coś ważnego o człowieku w ogóle, a nie tylko w danym momencie historycznym. *Klasyki piszą o nas. Ryszard III jest o nas – ja, Ryszard! – o każdym z nas! Wielcy piszą o nas, a drugorzędni piszą o polityce: o bolszewizmie, komunizmie, faszystwie... Teatr nie jest od nauczania, na czym polega zagrożenie faszystwem; od tego jest **Mein Kampf**, lub relacje reportażystów oparte na faktach, a nie jakaś historyjka przetworzona teatralnie z love story w środku! Wielka dramaturgia dotyczyła nas wszystkich – mnie i ciebie, a dzisiaj opowiada o jednej z dziewczyn licealnych, a nie o sylfidzie z **Jeziora Łabędziego!** Jeśli nosisz w sobie mordercze myśli skierowane ku własnej żonie, idź na **Ryszarda III**.*

Hanuszkiewicz nie lubił również dekoracji i kostiumów historycznych. Takie też przecież były początki teatru, w czasach antycznych: *rzecz działa się tu i teraz – i aktorzy nie musieli się specjalnie przebierać, bo mieli takie same stroje jak widzowie (jedynie dla podwyższenia postaci używano koturnów i peruk); dopiero od czasów, gdy rzecz dzieje się gdzieś i kiedyś, zaczął się teatr sztuczny: z guzikami z epoki, koronkami, lampasami... istne muzeum etnograficzne.*

W jednym z wywiadów na pytanie jak zrobiłby **Dziady** odpowiedział: *Musical. Dziady śpiewane. Wziąć*

*najlepszych solistów polskich: Niemena, Cugowskiego. Myślałem nawet, że każdy sobie napisze swoją muzykę: Senator napisze swoją, Ksiądz Piotr swoją, Konrad swoją.*

**Teatr Narodowy**, któremu Hanuszkiewicz dyktował i w którym wystawiał przez 14 lat (1968-1982) nigdy wcześniej ani później nie był tak popularny, zwłaszcza wśród młodej widowni, do której przemawiał język kultury masowej: elementy komiksu, muzyki popularnej, wodewilu. Choć wzbudzał wiele kontrowersji i narażał się na drwiny sceptycznych krytyków, miał bardzo szerokie grono wielbicieli - wiele spektakli wystawiono nawet po kilkaset razy, przy niemal pełnej sali. Był to jedyny teatr w Europie, przed którym sprzedawano na czarnym rynku bilety z dziesięciokrotnym przebicciem. Wśród najważniejszych przedstawień należy wymienić **Nie-boską komedię** Krasińskiego (1969), **Proces** Kafki (1972) i **Antygonę** Sofoklesa (1973).

Hanuszkiewicz swoją wizję teatru realizował i na innych scenach warszawskich: wcześniej w **Teatrze Powszechnym** (1956-1968), gdzie wystawił m.in. **Wesele** Wyspiańskiego (1963), w którym podczas I aktu bezustannie działała obrotówka, wzmagając rytm tańców, **Pana Wokulskiego** (1967) - adaptację **Lalki** Prusa i **Śmierć Dantona** Büchnera (1968). Później pracował w teatrach **Ateneum** i **Studio** oraz w Łodzi i za granicą. W latach 1989-2007 był dyrektorem **Teatru Nowego** w Warszawie. Powołał też do życia **Teatr Mały**, jedną ze scen **Teatru Narodowego**, która należała do najciekawszych i najprężniej działających scen impresaryjnych w Polsce (1973-2009).

Warto również przypomnieć, że w latach 50. Hanuszkiewicz był jednym ze współtwórców i pierwszym reżyserem naczelnym **Teatru Telewizji**, który wówczas był grany na żywo. Ogromnie przyczynił się do rozwoju polskiego teatru telewizyjnego, realizując tam bardzo różnorodny repertuar: obok klasyki europejskiej znalazła się współczesna literatura polska. Dla Hanuszkiewicza telewizja była medium kameralnym, dla rodziny w domu. Zakładała bliski, bezpośredni kontakt z publicznością, którą to formę reżyser niejednokrotnie wykorzystywał potem w przedstawieniach teatralnych: zbliżenia, eksponowanie detali, stosowanie zaciemnień i wyciszeń, kadrowanie scen.

Teatr był dla niego rytuałem, który każdorazowo trzeba stwarzać. *Teatr to rytuał, napięcie, wyładowanie energii, branie energii. To msza profanum. Nieporównywalne z niczym, mówił, S t w o r z y ć taki rytuał! Odnajdziecie go choćby w meczach piłki nożnej czy zawodowej koszykówki; taki rytuał tworzy też Michael Jackson. (...)*



*Zauważyłem, że współcześnie ta energia musi być pomnożona, żeby poruszyć tłumy. Przed wojną wystarczył jeden tenor – gdy śpiewał Kiepusza, cała Polska przylepiła uszy do odbiorników radiowych, a dzisiaj muszą być aż trzy tenory, żeby w tym samym stopniu zelektryzować ludzi i stanowić konkurencję dla Jacksona!*

Ciekawe, że jeden z najważniejszych polskich twórców teatralnych, laureat dziesiątek nagród, trafił do teatru przypadkiem. Urodzony i wychowany we Lwowie, Adam Hanuszkiewicz wstąpił do zespołu teatralnego Wojska Polskiego w 1944, by uniknąć powołania na front (miał już wtedy żonę i małe dziecko). Zanim 10 lat później trafił do Warszawy, grał w Rzeszowie, Jeleniej Górze, Krakowie i Poznaniu. Dziś na lwowskim rynku, na renesansowej kamienicy znajduje się tablica z informacją, że tam się urodził, zaś urnę z jego prochami przysypano ziemią z lwowskiego Cmentarza Łyczakowskiego.

Adam Hanuszkiewicz spędził czynnie na scenie sześćdziesiąt lat, dopiero w ostatnich czasach wycofał się z życia publicznego i zawodowego. Na zawsze zachował w sobie ciekawość i energię dziecka, bo jak sam o sobie mówił *Jestem gówniarz. Trzeba mieć dziecko w sobie (...)* *A czymże jest talent artysty? Zachowaniem dzieciennych oczu na stare lata! I jest to strasznie trudne, strasznie trudne, bo wiąże się z zachowaniem zdolności wewnętrznej do radości, szczęścia, nieszczęścia, płaczu, zdziwienia, do protestu! A dorosły? To, co Gombrowicz pisze: dorosły to jest trup! Niczemu się już nie dziwi, wszystko akceptuje...*

*Angelika Sasin*

\*Cytaty pochodzą z rozmów Adama Hanuszkiewicza z Renatą Dymną-Kijowską i Januszem B. Roszkowskim z 2001 roku, które miały stać się podstawą dotąd niewydanej drukiem książki.

## Kino Stare i Nowe: *W Ciemności*



Film Agnieszki Holland *W ciemności* przenosi nas w mrok. Może nie od razu, choć i pierwszy moment filmu, scena kradzieży, odbywa się w nocy. Niedługo potem ciemności ogarną nas już „na dobre”. Oto kanalarz i złodziejsek Leopold Socha (Robert Więckiewicz) pomaga grupie Żydów. Początkowo za pieniądze, później już bezinteresownie. I tu pojawia się właśnie tajemnica, jak to się stało, jak to się dzieje, że ktoś tak mało wzniosły może zdobyć się na tak wiele. Jakie są mechanizmy bohaterstwa bądź podłości? Gdzie jest ten decydujący moment? I rozbijamy się o mur spekulacji, przypominamy sobie, że nawet najmądrzejsza psychologia nie jest nauką ścisłą i nigdy nie da nam odpowiedzi. Dostajemy lekcję pokory i tylko myślimy sobie, że nie wiemy, jak my zachowalibyśmy się w podobnie okrutnych warunkach i ewentualnie dziękujemy Bogu albo losowi, że nas akurat nie postawił w takiej sytuacji.

Ta bowiem jest skrajnie dramatyczna. Widzimy likwidację lwowskiego getta, a dziś już wiemy, że ze 120 tysięcy tamtejszych Żydów, do końca wojny przeżyło zaledwie 200 osób. Widzimy inne „akcje” Niemców, zaglądamy do obozu koncentracyjnego na Janowskiej. W

centrum uwagi widza jest jednak ciemność – kanalizacja pod miastem, gdzie Poldek Socha ukrywa małą grupkę Żydów, którzy stają się w którymś niezidentyfikowanym momencie „jego” Żydami. Tu właśnie sytuowałabym ów klucz do jego bohaterstwa – to chwila, w której skrajnie trudna relacja z zewnętrzną, nazwijmy to współcześnie „biznesowej” staje się przez podmiot działania uwewnętrzniona. Mówiąc normalnie Socha tych ludzi adoptuje, nie wdając się oczywiście w zawile rozumowanie. Bo Socha jest człowiekiem prostym, ale i obdarzonym wielką inteligencją. Na to w filmie nie brak dowodów. Kanały zna jak nikt inny, zna też życie. Typ nieco z pod ciemnej gwiazdy staje się w ciemności kanałów najlepszym aniołem stróżem. I nie ma w filmie żadnej czułości, sentymentalizmu. Socha, a raczej filmowy odtwórca tej postaci Więckiewicz, jest po prostu autentyczny z jego lwowskim bałakaniem, z mimiką, która dyskretnie pokazuje myślenie tego człowieka, szybkie i sprawne. Rośnie w nim dobro. Ale nie zapominajmy także o żonie Leopolda Wandzie (Kinga Preis). To tej równie prostej kobiecie wierzącej, której rzuconą mimochodem uwagą *Pan Jezus też był Żydem* udaje się zaszcześcić w mężu brzemienne w skutki wątpliwości w obliczu fundamentalnego zarzutu „Żydzi zabili Jezusa”.

Postaci ukrywanych Żydów nie mogły wykazać się takim stopniem wyrazistości. Ale ich okrutna sytuacja nie może chyba nikogo pozostawić obojętnym. Tak jak i gdzie indziej są wśród nich ludzie o różnych charakterach.

Marzą o normalności. Pragną żyć - kochać, modlić się, świętować. Ich największą chyba cnotą jest heroiczna wytrwałość w znoszeniu strasznej codzienności, owej zaszczurzonej, cuchnącej i niebezpiecznej ciemności kanałów, w której trwali przez 14 miesięcy dzięki woli i przemyślności jednego człowieka.

Film zainteresował mnie także jako bardzo lwowski, co w polskiej kinematografii wyjątkowe. Stamtąd pochodzą moi rodzice, tam dyrektorem *Polskiego Radia* był mój dziadek, patronujący słynnej *Wesołej fali*, która na światło dzienne wydobyta została dopiero niedawno. W filmie Holland dobrze oddany jest wielokulturowy charakter tego miasta. Słyszysz się polski, ukraiński i jidysz. No i niestety także niemiecki. A kogoś takiego jak ja, urzeka znana z opowieści i demonstracji śpiewność gwary lwowskiej.

Dla Agnieszki Holland temat holokaustu nie jest papierowy. Tak między innymi mówi w wywiadzie na ten temat: *Babcia ojca, czyli moja prababcia, była sparaliżowana, ale gdy getto zamknięto, odzyskała w nogach władzę. Kiedy zaczęła się akcja zabierania kalek i starców, moja babcia, czyli mama ojca, nie chciała jej puścić i zastrzelono je obydwie. Dziadka zabito na ulicy – podobno nie ściągnął przed Niemcem czapki. W sumie mieli szczęście, bo najgorsze były transporty, z Warszawy szły do Trebłinki i Brzezinki. Śmierć od strzału była z pewnością łaskawsza niż śmierć w komorze gazowej. A młodsza siostra ojca umarła prawdopodobnie w getcie na tyfus, starsza wydostała się stamtąd ukryta w jej trumnie.* Ten fragment opowieści nie wyczerpuje zresztą sprawy dramatycznych losów żydowskiej gałęzi rodziny Agnieszki Holland, której matka była Polką. Odsyłam do <http://kultura.onet.pl/literatura/artykuly/powody-milczenia>.

Holland zawarła w filmie reminiscencje ze swojej wiedzy o holokaucie. Korzystała także z dwu książek:

*W kanałach Lwowa* Roberta Marshalla, Scribner 1991, i *Dziewczynka w zielonym sweterku* Krystyny Chiger i Daniela Paisnera, St. Martin's Griffin 2009. Nie była jednak dosłowna i materiał twórczo przetworzyła pozostawiając kwintesencję, realia i wiele autentycznych wydarzeń. Jedną z postaci kobiecych przypomina na przykład Halinę Wind. To ona po wojnie przez blisko 30 lat wygłosiła w Stanach Zjednoczonych setki prelekcji na temat swojego doświadczenia ocalańca. To ona doprowadziła do przyznania Sosze i drugiemu pomagającemu mężczyźnie oraz ich żonom medalu *Yad Vashem Sprawiedliwy wśród Narodów Świata*. Jak podaje Maciej Pawlicki w *Uważam Rze* (2-8 stycznia 2012) w Wilmington, Delaware, gdzie zamieszkała, Halina Wind wzniosła pierwszy na świecie poza Izraelem i dotąd jedyny pomnik poświęcony chrześcijanom ratującym Żydów. Pomagała posyłając paczki. Od śmierci matki jej syn David Preston utrzymuje kontakt z polskimi rodzinami. Nagrał relację Wandy Sochowej. Gościł ich wnuka. Od kilku lat także *IPN* i *Narodowe Centrum Kultury* prowadzą program *Życie za życie* ([www.zyciezazycie.pl](http://www.zyciezazycie.pl)) poświęcony medialnym formom upamiętnienia Polaków ratujących Żydów.

Możemy się cieszyć, bo film Agnieszki Holland uzyskał nominację w kategorii najlepszego filmu nieanglojęzycznego. Teraz chcielibyśmy, żeby 26 lutego polska reżyserka dostała za niego *Oscara*. Taka nasza duma narodowa. Ale czy tylko o to chodzi? Jakże ma dla nas znaczenie, że właśnie za taki film? Przypuszczam, że ma znaczenie, bo temat żydowski ciągle jest u nas gorący. Ostatnie wielkie emocje związane były z wydaniem polskiej wersji pracy Grossów *Złote żniwa*. Znowu bowiem starano się, a może nawet potwierdzono tezę, że jako naród nie jesteśmy aż tak bezgrzeszni, jak chcielibyśmy się widzieć. Na szczęście mieliśmy Poldka i Wandzię Sochów.

*Joanna Petry Mroczkowska*

## Wydarzenia: Spotkanie z Agnieszką Holland

W środowy wieczór, 18 stycznia, w *Holocaust Museum* odbyła się specjalna projekcja najnowszego filmu Agnieszki Holland *W ciemności*, na którą przybyli zaproszeni goście, w tym członkowie polskiej społeczności w Waszyngtonie. Treścią filmu (omawianego w niniejszym biuletynie) są wojenne losy grupy Żydów, ukrywanych w kanałach Lwowa przez Polaka, Leopolda Sochę. Współorganizatorem pokazu była Ambasada Polska. Agnieszka Holland poprzedziła go słowem wstępnym, a po projekcji odpowiadała na pytania licznie zgromadzonych widzów.

Szereg pytań dotyczyło okoliczności, w jakich narodził się pomysł nakręcenia, filmu oraz warunków w jakich powstawał. Holland, której reżyserię zaproponował autor scenariusza, Kanadyjczyk David Shamoan, początkowo, pomimo wrażenia jakie wywarł na niej jego tekst, odrzuciła propozycję. Miała już w swoim dorobku dwa filmy o tematyce związanej z Holocaustem. Artystka uważała też, że produkcja anglojęzyczna nie jest w stanie dobrze odzwierciedlić rzeczywistości, a finansowanie filmu kręconego według jej koncepcji artystycznej, w pięciu oryginalnych językach, byłoby niezwykle trudne.



Ostatecznie, po roku negocjacji, kiedy scenarzysta i przyszli producenci przyjęli jej warunki, reżyserka podjęła się realizacji filmu. Przez cały czas świadoma była nie z wyjątków wyzwań, jakie łączyły się z jego produkcją, a jednocześnie była przekonana, że proces pokonywania tych wyzwań będzie czymś nowym w jej

karierze. Bohaterowie filmu mówią po polsku, niemiecku, rumuńsku, jidish, a także lwowską gwarą uliczną, tzw. *balakiem*. Film kręcono w Piotrkowie Trybunalskim, w Łodzi, w Warszawie, Berlinie i Lipsku. Oryginalne kanały lwowskie, z wielu względów, okazały się za ciasne. Wielki problem stwarzało oświetlenie kanałów tak, aby dobrze oddać ich grozę i jednocześnie tak, aby nie wypadły one zbyt monumentalnie. Ekipa filmowa pracowała w bardzo trudnych warunkach, zmagając się z ciasnotą, zimnem, wilgocią i ciemnością. Aktorzy musieli nie tylko odgrywać swoje role, często w obcych dla nich językach, ale także odpowiednio operować latarkami. Autorka zdjęć, Izabela Dylewska, miała pełną świadomość tego, że światło, (a może jego brak), jest także jednym z bohaterów tego filmu.

Scenariusz powstał na kanwie powieści Kanadyjczyka, Roberta Marshalla, *In the sewers of Lvov* oraz na podstawie filmu dokumentalnego opowiadającego o losach ludzi, którzy przeżyli część wojny w kanałach Warszawy. Holland, zapytana o autentyczność opisanych wydarzeń i postaci, potwierdziła ich prawdziwość zaznaczając, że z powodu wymogów scenariusza i innych ograniczeń niektórzy bohaterowie w filmie przejęli cechy innych osób ukrywających się w czasie niemieckiej okupacji we lwowskich kanałach.

Krystyna Chiger, jedyna do dziś żyjąca bohaterka opisywanych wydarzeń (nie udało się odszukać być może również żyjącej córki Leopolda Sochy), odnalazła się już po nakręceniu zdjęć. Swoją obecnością uświetniła premierę filmu, która odbyła się w 2011 roku na *Międzynarodowym Festiwalu Filmowym* w Toronto. Holland ze wzruszeniem opowiadała o niezwykłym przyjęciu filmu, kiedy to po projekcji wraz z Krystyna

Chiger oraz dyrektorem festiwalu popłakali się na scenie wśród głęboko poruszonej widowni. Co ciekawe, Krystyna Chiger wyznała, że wiedząc o planach nakręcenia filmu, który miał przedstawiać również jej wojenne losy, i znając poprzednie filmy Holland, miała nadzieję, że to właśnie jej powierzone zostanie zadanie jego realizacji. Film, który obejrzała na specjalnym pokazie poprzedzającym jego premierę, odebrała bardzo pozytywnie.

Holland wspomniała również o bardzo dobrym przyjęciu filmu w Polsce (wszedł na ekrany w styczniu 2012) oraz stale wzrastającej widowni, co jest samo w sobie zjawiskiem dość niezwykłym, szczególnie w odniesieniu do filmu o tak pozornie "ogrananej" tematyce.

Kolejne pytania dotyczyły obsady aktorskiej, przede wszystkim odtwórców głównych ról. Reżyserka, już pracując nad scenariuszem, myślała o Robertcie Więckiewicz jako Leopoldzie Sosze. On, oraz grająca jego żonę Kinga Preis, zaangażowani zostali z pominięciem zdjęć próbnych. Pozostali aktorzy przeszli typowy proces przesłuchań.

Dwa interesujące pytania z widowni dotyczyły dedykacji dla Marka Edelmana oraz narzucającego się porównania z *Kanałem* Andrzeja Wajdy. Edelman, jeden z legendarnych przywódców Powstania w Getcie Warszawskim, lekarz, opozycjonista z czasów PRL, społecznik, autor m.in. wydanej w 2009 roku wspomnieniowej książki *I była miłość w getcie*, przez lata przyjaźnił się z Holland pomimo dzielącej ich różnicy wieku. Zawsze chciał, aby wraz z Andrzejem Wajdą, nakręciła film o miłości w getcie. Edelman opisywał życie w getcie takim, jakim było. Nie upiększał go, ani nie mnożył drastycznych szczegółów. Podkreślał wagę zwykłych ludzkich uczuć, bliskości drugiego człowieka, zarówno duchowej jak i cielesnej. Życie w warszawskim getcie toczyło się własnym torem pomimo rozgrywającego się wokół koszmaru. Toczyło się intensywniej niż w normalnych warunkach, bo ludzie mieli świadomość, że każdy dzień może być ich ostatnim. Dlatego kochali się niemal otwarcie, wyzbywając się często naturalnej w takich warunkach wstydlivosti. Tak było w gettach, w kanałach Lwowa, czy w ruderze, w której mieszkał wraz z rodziną Leopold Socha. Edelman zawsze podkreślał rolę i znaczenie, jakie taka zmysłowa, fizyczna miłość miała dla ludzi stojących krok od śmierci i Holland, wypełniając niejako jego testament, ale także pozostając wierna scenariuszowi, znaczenie to w swoim filmie uwypukliła. Marek Edelman zmarł w 2009 roku nie doczekawszy ukończenia zdjęć.

Artystka ciekawie mówiła o związkach swojego dzieła ze słynnym filmem Andrzeja Wajdy. Nakręcony w 1956 roku *Kanał* opowiada o walczącym na Mokotowie oddziale powstańczym, który schodzi do kanałów by przebić się do Śródmieścia. Oba filmy łączy uczciwość przekazu, dbałość o pokazanie wojny taką, jaka była. Nie ma w nich "oczywistego" heroizmu i zwycięstw, są różne postawy ludzkie, małe i duże klęski, cierpienie i rozbitcie psychiczne. *Kanał* był jedną z pierwszych prób przeciwstawienia legendy i prawdy o Powstaniu Warszawskim, i jako taki w interpretacji odchodził znacząco od jedynej "poprawnej" wersji. Pokazywał ludzi wytrwałych, ale i załamanych, podłych i szlachetnych. Opisywał, jak zmieniali się pod wpływem strasznych warunków w jakich się znaleźli. Oba filmy kręcono w kanałach, w ciemności. Zakończenie filmu Agnieszki Holland i tragiczny los oddziału porucznika *Zadry* niejako wzajemnie się dopełniają. Wielowymiarowa i niejednoznaczna historia Polaka, lwowskiego kanalarza, drobnego złodzieja i oszusta, który trochę wbrew sobie staje się bohaterem i narażając życie swoje i rodziny ratuje grupę Żydów, zatacza krąg i

również nabiera tragicznych rysów, gdy pod koniec wojny Socha ginie bezsensowną z pozoru śmiercią pod kołami sowieckiej ciężarówki.

Wajda wspierał reżyserkę przy realizacji *W ciemności*, wielokrotnie służył jej radami, aby na koniec wspaniałomyślnie powiedzieć, że *ona robi to lepiej*.

I Agnieszka Holland zrobiła piękny, uczciwy film o zakamarkach duszy ludzkiej, o klęsce wszystkiego co w człowieku dobre, ale i o buncie przeciwko temu. Jak powiedziała w jednym z wywiadów, nakręciła "nieoczywisty" film o Holocauście, o poddaniu się nieubłagalności losu i o buncie przeciw temu losowi, o dobrych i złych wyborach, i o prawie niewidocznej granicy między nimi – tym razem przebiegającej w *ciemności*. Zasłużenie film otrzymał ostatnio nominację do nagrody *Amerykańskiej Akademii Filmowej* w kategorii najlepszy obraz nieanglojęzyczny.

*Maria Koziębiedzka*

## Między nami podróżnikami

Na początku tego roku odbyło się pierwsze z nowego cyklu bibliotecznych spotkań – *Między nami podróżnikami* – na których zamierzamy rozmawiać o podróżach i książkach podróżniczych. Bohaterem styczniowego spotkania był pierwszy sekretarz waszyngtońskiego Konsulatu R.P. Michał Sikorski, który opowiadał o Islandii i swojej nią fascynacji. Ten małeńki pod względem liczby ludności (zaledwie 300 tys.) kraj-wyspa intryguje Michała od dzieciństwa, spełnieniem więc jego marzeń był kilkuletni pobyt w oficjalnej roli przedstawiciela Polski.

Opowieściom o islandzkiej historii, legendach, tradycji prawnej, gospodarce i niezwykłych krajobrazach towarzyszyła prezentacja slajdów i islandzkich

przysmaków. W spotkaniu uczestniczyło ponad 20 osób, co małeńkie pomieszczenia Biblioteki wystawiło na prawdziwą próbę wytrzymałości. Wszyscy się jednak pomieścili prezentację zamykając gorącymi brawami.

Biblioteka organizuje także comiesięczne spotkania filmowe, o których informujemy na bieżąco wysyłając zaproszenia pocztą elektroniczną. Informacje można także uzyskać dzwoniąc do Biblioteki w godzinach jej otwarcia.

**WzB**

## Wydarzenia: *Wariat i zakonnica* w teatrze *Ambassador*



Teatr *Ambassador* w Waszyngtonie wystawił sztukę opartą na dramacie Stanisława Ignacego Witkiewicza (Witkacego) *Wariat i zakonnica*. Autor, którego pola zainteresowań obejmowały takie dziedziny jak malarstwo, fotografia, dramat, literatura, filozofia i teoria sztuki, był wybitnym twórcą i myślicielem pierwszej połowy dwudziestego wieku. Twórczość

Witkacego jest określana mianem awangardowej, a teatr często zaliczany jest do „teatru absurdu”. Gatunek ten, zapoczątkowany pod koniec XIX wieku, został zdefiniowany przez angielskiego teoretyka literatury, Martina Esslina, w latach sześćdziesiątych ubiegłego wieku. Jego przedstawiciele prezentowali widzenie świata, w którym łączyli pozornie niemożliwe do pogodzenia sprzeczności. Stąd częste odwrócenie tradycyjnych ról przypisywanych tragizmowi i komizmowi. Kwestionowali oni również zdefiniowany przez naturalistów obraz świata jako możliwego do poznania wyłącznie dzięki obiektywnym i naukowym badaniom obejmującym wszystkie obszary działalności człowieka. W szczególności podkreślali oni ograniczony zakres naukowego podejścia w odniesieniu do moralności, którą uważali wyłącznie za zbiór konwenansów. Dla nich ostateczna prawda to chaos, bezkształtność, sprzeczności i nedorzeczności składające się na codzienny byt człowieka.

Witkacy, mimo że zaliczany jest do prekursorów teatru absurdu, wyprzedzając takich autorów jak Ionesco czy Beckett, przez długie lata pozostawał szerzej nieznanym. Częściowo można to przypisać trudnościom w odbiorze jego utworów. Dramaty powstałe w okresie międzywojennym nie spotkały się początkowo z uznaniem krytyków i publiczności. W okresie późniejszym miały też na to wpływ działania wojenne i zmiany ustrojowe w powojennej Polsce. Dopiero po odwilży politycznej w 1956 roku wznowiono wystawianie dramatów Witkiewicza. Z czasem, jego sztuka została zauważona w zachodniej Europie, ale na Nowym Kontynencie pozostał artystą prawie nieznanym. Tym bardziej należy docenić podjęcie próby przybliżenia

Witkacego publiczności amerykańskiej dokonane przez reżyser Hannę Bondarewską.

Autor pochodzącej z 1923 roku sztuki nadal jej podtytuł *Nie ma złego, co by na jeszcze gorsze nie wyszło*. Już w tym stwierdzeniu, będącym parafrazą znanego polskiego powiedzenia, Witkacy zapowiada absurd, groteskę i tragikomizm sytuacji. Treścią sztuki, której akcja toczy się w izolatce szpitala psychiatrycznego, są cierpienia pacjenta Mięczysława Walpurga i jego zmagania z personelem medycznym. Bohater jest poetą, który trafił do zakładu w wyniku szaleństwa spowodowanego cierpieniem twórczym, ale także tragedią życia osobistego. Osaczony przez wrogie otoczenie szpitala, artysta walczy o odzyskanie wolności. Jedynym sojusznikiem okazuje się być siostra zakonna Anna, przydzielona do opieki nad chorym. Ona sama w przeszłości była wielką entuzjastką wierszy poety, a wstąpiła do klasztoru po dramatycznych przejściach osobistych. Fascynacja poetą sprawia, że siostra Anna, łamiąc regulamin zakonny i szpitalny, związuje się z Walpurgiem. Jej uczucie nie jest jednak w stanie go uratować. Wręcz przeciwnie, bohater w akcie szaleństwa morduje doktora Burdygiela i dopiero samobójcza śmierć przynosi mu ostateczne oczyszczenie i wolność.

Jak można się spodziewać po teatrze absurdu, logika akcji często nie ma nic wspólnego z rzeczywistością; uśmiercone w poprzednich odsłonach postacie pojawiają się w następnych scenach w zupełnie innych układach. Wątek świata przedstawionego jako dom wariatów jest często obecny we współczesnym dramacie. W *Wariacie i zakonnicy* ten groteskowy świat zamknięty jest w pojedynczej celi szpitala, a każda z przewijających się postaci zdradza uprzedzenia i lęki autora, którego życie i śmierć nosiły przecież wszelkie znamiona teatru absurdu. Wydaje się, że wyznanie Witkacego - *O, jakie dziwne formy może przybierać szaleństwo ludzi zdrowych* - dobrze oddaje charakter sztuki. Oczywiście spór artysty z personelem szpitala można odczytać znacznie szerzej i znaleźć w nim konflikt jednostki ze społeczeństwem, co nadaje sztuce charakter uniwersalny. Nie ulega żadnej wątpliwości, że autor solidaryzuje się z jednostką nadmieniając w podtytule sztuki, że *poświęcona (jest ona) wszystkim wariatom świata*”.

*Wariat i zakonnica* w dużym stopniu odzwierciedla teorie Witkacego zawarte w wydanej w tym samym roku rozprawie *Teatr*. Autor uściślił w niej swoje wcześniejsze wypowiedzi odnośnie „czystej formy”, która w teatrze może być osiągnięta za cenę deformacji psychologii i akcji.

Przekładu sztuki dokonał niedawno zmarły Daniel Gerould, autorytet w sprawach teatru Europy Wschodniej, a w szczególności Witkacego. Wprowadził on pewne zmiany w imionach i nazwiskach postaci, ale motywacja tego nie jest jednoznaczna. Witkacy często tworzył neologizmy, a nazwiskom swoich bohaterów nadawał podtekst, na przykład Tumor Mózgowicz, Baron Satanescu czy Jan Michał Karol Wścieklica. Często te ukryte znaczenia giną w tłumaczeniu, ale w przypadku *Wariata i zakonnicy* zamiana Mięczysława na Alexandra, czy Jana Burdygiela na Jana Bidello nie pomaga w zrozumieniu intencji autora przekładu.

Wydaje się, że Hanna Bondarewska prawidłowo odczytała wymowę sztuki Witkacego i, nie ulegając pokusie jej nadmiernej aktualizacji, wydobyla charakterystyczne dla teatru absurdu połączenie tragizmu i komizmu, zarówno w zachowaniu poszczególnych postaci, jak i w ich wzajemnych zależnościach. W tym zadaniu pomógł jej zespół aktorów, wśród których na szczególną uwagę zasługuje odtwórca głównej roli, John Stange.

Wśród kostiumów wyróżniał się różowy strój aktorki grającej rolę siostry Anny. Stanowił on skrzyżowanie habitu z sukienką, co podkreślało jego dziwaczność. Projektantka kostiumów wykorzystała zalecenia autora sztuki, który przewidywał ten strój jako *zakonny fantastyczny*, ale słusznie odróżniła go od stroju siostry przełożonej, Barbary, odchodząc tu od zaleceń

Witkacego. Trzeba przyznać, że o ile w przeszłości teatr absurdu mógł stanowić inspiracje dla gwiazd estrady, zwłaszcza w zakresie kostiumów, to obecnie stroje takich artystów jak Madonna czy Lady Gaga daleko wyprzedziły najbardziej groteskowe kostiumy teatralne. Przy ich prowokacyjnym charakterze kostium siostry Anny wydaje się wręcz zachowawczy.

Scenografia została zaprojektowana niezwykle oszczędnie. Praktycznie jedynym sprzętem na scenie jest podium spełniające funkcję łóżka. Uzasadnione jest to miejscem akcji (cela szpitalna) i pozwala widzowi na całkowite skupienie się na grze aktorów.

Układ widowni został pomyślany jako zmodyfikowana „arena”, z widzami umiejscowionymi po obu stronach przestrzeni scenicznej. Takie usytuowanie pozwoliło na bliski kontakt publiczności z aktorami.

Bez żadnej przesady można stwierdzić, że reżyserowi i grupie wykonawców udało się stworzyć interesującą inscenizację, osiągając w ten sposób jeden z głównych celów Witkacego, który niezależnie od przesłań ideowych zabiegał wszystkimi środkami o uwagę widzów. Czy jednak szok i gwałtowność, według autora niezbędne elementy *perwersji środków artystycznych*, wywołały u nich stan metafizyczny pozostaje sprawą otwartą.

*Krzysztof Sasiadek*

## Kolędy 2011: Przepis na świąteczny nastrój



Idąc na drugą próbę naszych dorocznych *Kolęd* czułam, że czegoś mi brakuje. Śniegu! No bo jak tu się wczuć w świąteczny nastrój, gdy nie spadł ani płateczek, tylko

liście wirują na wietrze i jesień nadal panuje nad waszyngtońskimi ulicami? Może dlatego nie mogłam znaleźć mojej kolędy... Na okrągło słucham ich w internetowym radiu, Dorota Ponikiewska (nasza oddana reżyserka) już tworzy program, a mnie nic nie rusza. Stojąc w kolejce w banku słyszę subtelną melodię Silver Bells. Tak, to jest to! W końcu ta amerykańska piosenka bożenarodzeniowa wprawiła mnie – warszawiankę w Waszyngtonie – w tak magicznie świąteczny nastrój jakbym nagle stanęła na ośnieżonej uliczce w Polsce, za moment zabierając mnie do pachnącego ciastem domu. Właśnie taki nastrój staramy się stworzyć dla naszych gości na scenie.

Tylko gdy artysta odkryje magię w utworze, co jest niezwykle ważne w przypadku kolęd, może ją przekazać publiczności. Zaśpiewać z radosnym przekonaniem. Każdy z nas, a szczególnie Vova (Wladimir Nemirovsky), nasz pianista, dąży do

wydobycia tej magii, ożywienia kolęd poprzez unikalne aranżacje. To wymaga wielu prób, śpiewania w domu i nucenia słów w metrze, kilku kłótni i łez i co najmniej pięciu wersji programu... ale czerpiemy z tego szaloną przyjemność, z nadzieją, że zarazimy widownię świąteczną atmosferą.

Nasz przepis jest prosty: 1 kg potężnego aktorskiego głosu Kaza (Wiesław Małachowski – *Bracia patrzcie jeno*), szklanka ujmująco pięknego sopranu Kasi Drucker (*Kolęda katyńska*), 10 gram moich srebrnych dzwoneczków i szczypta radosnej recytacji Milenki Munoz, Michała Kopackiego i Laury Migasiuk, osłodzone fortepianem Vovy i upieczone na drożdżach wspólnego śpiewania kolęd pod pilnym okiem Doroty i... (nieczekoladowy) Mikołaj! A na drugie danie inny międzynarodowy sposób świątecznego porozumienia w wersji polskiej – pyszne wigilijne jedzenie domowej

roboty Państwa Konefal. Pierogi i sernik były największym przebojem. Nawet amerykańscy goście poczuli się jak w domu na Święta.

*Kolędy 2011* odbyły się w dwukrotnie – 7 i 10 grudnia – w gościnnych progach Fundacji Kościuszkowskiej, z którą wspólnie je w tym roku organizowaliśmy. Mimo, iż ze względów technicznych nie mogliśmy skorzystać z pomieszczeń Ambasady RP, gości nie zabrakło! Sala była wypełniona w oba grudniowe wieczory. Ania Firsowicz i Laura Oldanie ogrzewały nas przy barze uśmiechem i winem między dodatkami. Nasyceni, z radosną duszą opuszczaliśmy budynek, aby ze świeżo nabytym zapałem zająć się przygotowaniami do Świąt. Życzymy wszystkim, aby ten ciepły nastrój trwał cały rok!

*Iza Chmielewska*